

„Szkola kobiet”

I na afiszu i w programie teatralnym podaje się jako autora „Szkoly kobiet” Wojciecha Bogusławskiego*). Zgodnie z tradycją. Ale chyba w niezgodzie z intencją „ojca teatru polskiego”. Zła to tradycja, która ustawia Bogusławskiego w pozycji dwuznacznej z pogranicza plagiatu. A przecież uważał się on jedynie za tłumacza „L'école des femmes” Moliera, przekładanej u nas wielokrotnie a znanej przede wszystkim z przekładu Boya jako „Szkola żon”. Nie jest zresztą przekład Bogusławskiego dosłownym tłumaczeniem komedii Moliera, nie jest też mechanicznym „spolszczeniem” czy „adaptacją”, bo oryginalny wkład Bogusławskiego w komedii Moliera jest znaczny. Mimo więc, że twórca „Krakowiaków i górali” w posłowie do „Szkoly kobiet”, (której fragmenty przytacza się w programie, jak zawsze bardzo starannie i interesująco opracowanym przez Annę Boską) pisze ze zdumiewającą skromnością jedynie o „przekładaniu” lub „tłumaczeniu”, tłumacząc się raczej niż pyszniąc z dokonanych zmian — trzeba tu mówić nie o przekładzie czy spolszczeniu, lecz współautorstwie komedii. Na afiszu powinni więc figurować jako współautorzy komedii w jej polskiej wersji zarówno Bogusławski jak i Moliere, podobnie jak to jest z „Cydem” Corneille'a — Wyspiańskiego.

Ta przydługa dygresja wstępna była niezbędna z tego względu, że wielu widzom oglądającym obecne przedstawienie w Teatrze Polskim może się ono kojarzyć ze spektaklem „Szkoly żon” Moliera granym przed trzema laty w warszawskim Teatrze Dramatycznym i późniejszą adaptacją telewizyjną.

Obecna premiera ujawniła zdumiewającą żywotność tej przed dwoma niemal wiekami „spolszczonej”, a ponad trzy wieki temu napisanej komedii Moliere-Bogusławskiego, jej sprawdzający się po dziś komizm i to zarówno jako komedii charakterów jak i komedii sytuacyjnej. Krystyna Meissner udowodniła, że Bogusławski jest nie tylko „czcigodny”, odświętny, ale że i dziś jeszcze umie bawić widownię. Na premierze publiczność reagowała bardzo żywo śmiechem, oklaskami — na każdą zabawniejszą scenę, sytuację, pointę czy wymowniejsze gesty wykonawców. Reżyser wygrywa też dowcipnie rekwizyty, rozbudowując przez nie różne sytuacje komediowe, niekiedy co prawda z pogranicza farsy. Spektakl jest zwarty, wyrazisty, akcja płynie wartko, czemu sprzyja też dobrze przemyślana zabudowa sceny, która dostarcza ponadto wzruszeń licznym miłośnikom starej Warszawy.

Ale przedstawienie „robi” przede wszystkim Tadeusz Fijewski w tytułowej roli Anzelma. Jest w tej postaci cała

gama tonów i barw — od farsowych poprzez komediowe, dramatyczne aż po tragiczne, aktora inspirował tu w znacznej mierze molierowski Arnolf o akcentach autobiograficznych niż jego spolszczony kuzyn. Fijewski pamięta jednak, że gra w komedii, rozjaśnia więc postać elementami komizmu wysokiej próby, pozwalając tylko od czasu do czasu na przebijanie się przez komediową powłokę elementów życiowego dramatu odtworzonej postaci. I jeśli Elżbietę Jeżewską, początkującą aktorkę, partnerującą Fijewskiemu w roli Anusi, odbiera się nie tylko bez oporów, ale w niektórych scenach z aprobatą, to w tym zestawieniu jest to znaczne osiągnięcie; tylko głos niekiedy wychodzi płasko, zwłaszcza przy jego nasileniu. Temperament sceniczny i znaczne już wyrobienie aktorskie wykazała też w roli Felusi nie wiele od swej scenicznej pani starsza stażem aktorskim Jolanta Bohdal. A grają jeszcze Tadeusz Pluciński (drobiazgowo przemyślana i solidnie zbudowana postać franta Filutowskiego) i Andrzej Antkowiak (Porucznik), jest Tadeusz Białoszczyński (Staruszkiewicz) i Maciej Maciejewski (brat Anzelma), jest para zabawnych hultajów — Maciej i Bartek (J. Kaczmarek i M. Borniński). I są jeszcze postaci epizodyczne, nie wszystkie zresztą uzasadniają swą obecność na scenie.

*) Wojciech Bogusławski — „Szkola kobiet”. Premiera w warszawskim Teatrze Polskim. Reżyseria Krystyna Meissner, scenografia Otto Axer.